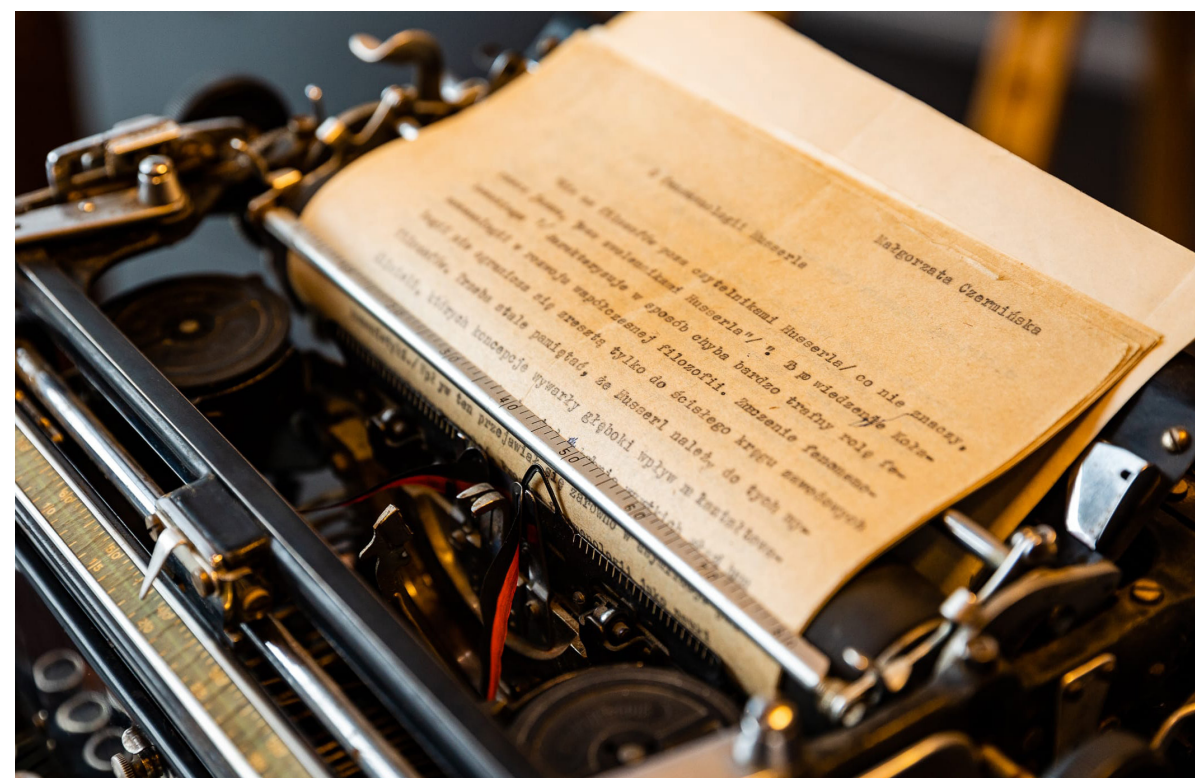


## Refleksje nad przemianami warsztatu filologa w esejach towarzyszących wystawie „Profesor Małgorzata Czermińska i jej środowisko. Osoby – tematy – pasje”

Wśród materiałów, które można było obejrzeć na wystawie „Profesor Małgorzata Czermińska i jej środowisko. Osoby – tematy – pasje”, znalazły się m.in. trzy eseje, przygotowane specjalnie z tej okazji przez prof. Czermińską oraz jej uczniów – prof. Magdalenę Horodecką i prof. Tomasza Tomasika. Stanowiły rodzaj komentarza do maszyn do pisania prezentowanych w Bibliotece Głównej UG, będących namacalnym świadectwem tego, jak bardzo zmienił się warsztat pracy filologów na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci. Zachęcamy do lektury tych esejów i refleksji nad opisanymi w nich przemianami



Maszyna do pisania Continental prezentowana na wystawie „Profesor Małgorzata Czermińska i jej środowisko. Osoby – tematy – pasje”

Fot. Alan Stocki/UG

## Techniczne przemiany warsztatu polonisty

Małgorzata Czermińska

Wychowałam się w kulturze rękopiśmiennej. Odręcznie pisałam nie tylko szkolne wypracowania, ale i prace zaliczeniowe podczas studiów. Co więcej, przez dziesięciolecie czytałam także prace moich studentek i studentów, co dziś wydaje mi się zupełnie nie do pojęcia. Na maszynie musiały być przepisane artykuły składane do druku, a w trybie uniwersyteckim dopiero praca magisterska. Zawód biegłej maszynistki był wówczas wysoko ceniony. Precyzja zakładania na wałek maszyny papieru, kalki i cienkiej przebitki (dobra maszyna pozwalała uzyskać pięć egzemplarzy przepisywanego tekstu) była pracą wymagającą zręczności i uwagi. Czynność ta stała się nawet tematem literackim, Stanisława Przybyszewska w jednym z listów opisywała trud pedantycznego zakładania papieru podczas pracy nad jej dramataми o rewolucji francuskiej. Na całe szczęście czytanie odbywało się już dzięki wynalazkowi Gutenberga. Kończąc studia, marzyłam o maszynie do pisania, bo moje rękopisy były zawsze pokreślone straszliwie, tak że przed oddaniem ich maszynistce musiałam najpierw przepisywać je odręcznie na czysto, co pochłaniało czas i energię, a niekiedy stwarzało pokusę wprowadzania niekończących się poprawek. Jednym słowem – błędne koło.

Uratowała mnie maszynistka, która przepisywała mi pracę magisterską. Zaproponowała sprzedaż swojej poprzedniej maszyny i to za nieduże pieniądze. Był to Mercedes, czarny z czerwonym firmowym napisem, podobny do

obecnego tu Continentala, ale chyba jeszcze nieco starszy. Trzeba było niezłej siły, żeby uruchomić jego klawisze. Maszyna była ciężka ponad moje siły. Przywiózł ją z Warszawy do Gdańska mój ówczesny narzeczony, a obecnie ciągle ten sam mąż Jurand. Bardzo chciałam nauczyć się pisania dziesięcioma palcami bez patrzenia na klawiaturę, tak jak robiły to zawodowe maszynistki. Kupiłam sobie specjalny podręcznik, ale na moim antycznym Mercedesie okazało się to niewykonalne, małe palce nie miały dość siły, żeby uruchamiać skrajne klawisze.

Z czasem ukazały się w sprzedaży niewielkie maszyny walizkowe. Taka niemiecka Erika w zgrabnej szarej walizeczce pojawiła się pewnego dnia w naszym domu w rękach mego męża, uwielbianego nowinki techniczne. On szedł do swego chemicznego laboratorium na uniwersytecie, a ja po wyjściu synów do opiekunki i przedszkola zasiadałam do pisania. Moja biegłość w posługiwaniu się maszyną była wciąż za mała, by nadążyć za biegiem myśli, więc pisałam ręcznie, ale Erika zapewniała mi czytelne przepisywanie dla maszynistki bez porównania sprawniej niż moje nieszczęsne usiłowania pseudokaligraficzne. Opłata za przepisanie rozprawy doktorskiej przez profesjonalną maszynistkę z urzędu należała do dziekanatu, nawet papier, przebitkę i kalki otrzymywało się drogą służbową. Nie porzuciłam jednak marzeń o biegłym pisaniu na maszynie. Przerobiłam podręcznik i nauczyłam się pisać bez patrzenia na klawiaturę, ale nie dość

cierpliwie, bo już natychmiast chciałam pisać i nie nauczyłam się cyfr oraz niektórych znaków ze skraju klawiatury, więc muszę na nią czasem zerkać.

Kluczowe znaczenie miała decyzja, by odważyć się pisać wprost na maszynie, bez pośredniego etapu rękopiśmiennego. Po doktoracie zostało mi trochę wykorzystanego materiału i nadarzyła się okazja napisania małej monografii, poświęconej Teodorowi Parnickiemu. Pisałam bez napięcia, które towarzyszyło mi w pracy nad doktoratem. Wtedy to była walka o życie, zwłaszcza pod koniec. Małą książeczkę pisałam na luzie, z przyjemnością, niemal się bawiąc. I pisałam wprost na maszynie. Konieczne niekiedy przekreślenia i poprawki nanosiło się tak łatwo między wierszami maszynopisu, to była frazka w porównaniu z męką bazgrania w rękopisie. Jednak gdy czasem dochodziłam do miejsca, gdzie myśl się komplikowała i sama nie bardzo wiedziałam, o co mi chodzi, musiałam sięgać po kartkę leżącą na biurku obok maszyny i pisać parę słów lub zdań odręcznie, starą metodą, kiedy ciało wie swoje i pomaga nieszczęsnej zaplątanej w głowie myśli, a ruch ręki ułatwia wydobycie jasnego zdania z niejasnej gmatwaniny problemu. Jeśli sama sobie musisz wytłumaczyć, o co ci chodzi, wróć do ręki, do ciała, do archaicznej mądrości sprzed wieków. Książeczka o Parnickim została w całości napisana na maszynie i dalej już poszło bez uciekania się czasami do odręcznych notatek.

Kolejna, absolutnie gruntow-

na rewolucja (o czym długo nie wiedziałam) była jednak dopiero przede mną. Na początku lat 80. mój mąż, doktor chemii, uzyskał grant, będący jednocześnie zaproszeniem do pracy na uniwersytecie stanowym w Gainesville na Florydzie. Pojechałam do niego z najstarszym synem (którego tam posłaliśmy do szkoły) dzięki urlopowi naukowemu i zbierałam materiały do rozprawy habilitacyjnej, korzystając z biblioteki uniwersyteckiej. Tam przeżyłam doświadczenie niezwykle inspirujące w pracy humanisty, mianowicie kwerendy i lektury w bibliotece z otwartym dostępem do półek. Wszelkiego rodzaju katalogi, bibliografie – tak, to niezastąpione i niezbędne pomoce, ale sam tylko systematyczny porządek nie wystarcza. Ręka bibliotekarza, który ustawia książki na półkach w merytorycznym porządku ogólnym, nieświadomie reżyseruje zaproszenia do intelektualnej niespodzianki, jeśli tylko mamy w sobie gotowość do ryzyka i przygody, żeby pójść za jakąś linią skojarzeń, kuszącą do nowych odkryć. Warto jednak pamiętać, żeby nie dać się wciągnąć w chaos i przypadkowość. Buszowanie po regałach, oto prawdziwa rozkosz czytelnika, zapominającego o upływie czasu aż do chwili, gdy przygasają światła i odzywa się megafon przypominający o godzinie zamknięcia.

To była rewolucja w sposobach szukania lektur, jednak nie skończyły się jeszcze przemiany warsztatu pisarskiego. Dokonało się to dzięki następnemu pobytowi w Stanach, 10 lat później. Tym razem to ja wyjechałam pracować na uniwersytecie, mianowicie wykładałam literaturę polską od pozytywizmu do współczesności w letnim semestrze na University of Michigan w Ann Arbor

w stanie Michigan. To była już inna epoka. Komputer Osborne O-1, który mój mąż kupił na Florydzie, był typem pierwszego na świecie przenośnego komputera walizkowego. Dziś nawet dzieci (choć nie wszystkie) w wiejskiej szkole podstawowej mają laptopy, ale w 1982 roku Osborne O-1 był techniczną rewelacją. Posłużył memu mężowi do stworzenia na Wydziale Chemii pierwszej pracowni komputerowej dla studentów. Miał jednak ekran wielkości dwu dłoni i nie wzbudził we mnie takiego zainteresowania, jakie rozpałało wyobraźnię naszych synów i studentów na uniwersytecie. Do innego świata trafiłam po 10 latach. Otrzymałam na uniwersytecie mój pierwszy adres mailowy, nauczyłam się korzystać z poczty elektronicznej, podczas wizyty w Waszyngtonie posłużyłam się w katalogu Biblioteki Kongresu komputerem z ekranem dotykowym, co wówczas było rozwiązaniem zupełnie elitarnym. Znalazłam w tym katalogu nasze wydane w Gdańsku *Transgresje*, redagowane przez Marię Janion wespół z Chwinem, Majchrowskim i Rośkiem! Wiedziałam już, że komputer jest bez porównania lepszy od niemieckiej maszyny walizkowej Erika. Pod koniec pobytu w USA kupiłam za zarobione na uniwersytecie pieniądze komputer Gateway 2000 z monitorem i z legalnym oprogramowaniem. Oczywiście wybór sprzętu był dziełem mojego męża, załatwiałam wszystko według jego wskazówek. Jednak z wyczynu dokonania komputerowych zakupów przez internet byłam bardzo dumna.

Transport tego wszystkiego do domu po drugiej stronie Atlantyku był możliwy tylko dzięki pomocy naszego najmłodszego syna

Janka, którego zabrałam ze sobą na cały pobyt w USA, by tam chodził do szkoły i zwiedzał ze mną tamten świat. Podróż samolotem nie była łatwa. Kazano nam wziąć sprzęt ze sobą do kabiny. Komputer, który był prostopadłością o wymiarach mniej więcej 50 cm x 40 cm x 10 cm i ważył 10 kg, zmieścił się pod fotelem Janka, który dźwigał go jako swój bagaż podręczny. Ja niosłam znacznie lżejszy, mimo sporych rozmiarów, monitor. Stewardesa poleciła mi potraktować go niemal jak dziecko, znajdujące się pod moją opieką. Umieściła monitor obok mnie na sąsiednim fotelu, z ekranem zwróconym do miękkiego oparcia pleców, i zapięła pasem bezpieczeństwa. Po powrocie do domu trzeba było tylko dokupić drukarkę. Klawiatura okazała się absolutnie przyjazna dla ręki. Małe palce nie miały najmniejszego problemu z uruchomieniem klawiszy. Nie trzeba było ich mocno naciskać, wystarczyło dotknąć, by spowodować pojawienie się litery. I to nie na papierze, gdzie napisany błąd zostawał już raz na zawsze przypieczętowany czarnym tuszem z taśmy maszyny do pisania, lecz na ekranie, na którym błędny znak zniknął posłusznie, by ustąpić miejsca poprawce. Wreszcie moje marzenie o pisaniu dziesięcioma palcami bez patrzenia na klawiaturę okazało się realne. Mogłam dowolnie zmieniać, poprawiać i likwidować każdy znak, każde słowo, każde zdanie. Skończył się koszmar rękopiśmiennych bazgrołów i zakrywania iksami niepotrzebnych próbek tekstu. Widziałam na ekranie, co piszę, i wreszcie nie musiałam przepisywać na czysto. Pisząc, czyściło się tekst od razu.

Znalazłam się w polonistycznym siódmym niebie.

## Od filologii druku i papieru do filologii na ekranach

Magdalena Horodecka

Studiowałam na przełomie wieków – XX i XXI, doktorat broniłam w 2007 roku. Następne 15 lat pracy spędziłam na Uniwersytecie Gdańskim. Czas studiów i większa część doktoratu przypadła jeszcze na epokę monopolu książki drukowanej i notatek ręką ludzką uczynionych. Oznaczało to, iż jako studenci spędzaliśmy czas w bibliotece, szukając książki na zajęcia w katalogu kartkowym, wypisując jej sygnaturę na rewersie (nie było katalogu online), a potem – kiedy bibliotekarka wydała nam książkę (nie było wolnego dostępu do półek!) – zanurzaliśmy się w lekturze, w cichej przestrzeni biblioteki. Studiowanie było więc dość precyzyjnie podzielone na czas zajęć oraz czas przygotowywania się do zajęć – lektury i notatki w bibliotece lub w domu. Pamiętam, jak tekst Romana Ingardena czytałam kiedyś 7 godzin, jednocześnie notując i dyskutując z tekstem – na marginesach moich notatek. Czasem materiały się kserowało, wtedy była pokusa, by tylko podkreślić najważniejsze fragmenty artykułu. Robiłam to w ostateczności, bo wtedy słabiej pamiętałam tekst i gorzej mi się o nim dyskutowało na zajęciach. Epoka kserowania materiałów na zajęcia odeszła dla mnie w przeszłość przed kilkoma miesiącami, kiedy nasze ksero na Wydziale Filologicznym, w starym budynku, zamknęło działalność, „bo wykładowcy kserowali częściej niż studenci”. Taki duch czasów, nie ma co lamentować. Trzeba myśleć, jak mądrze odpowiedzieć na te zmiany.

O tym, czym było kiedyś notowanie – nie tylko w czasie lektury, ale także w czasie wykładów, wiele mówi fakt, iż znaczna część książki Marii Janion *Romantyzm, rewolucja, marksizm* powstała na podstawie notatek Małgorzaty Czerwińskiej czynionych na wykładach autorki tej rozprawy. Dziś, kiedy wykładam, studenci patrzą na mnie lub na slajdy prezentacji. Wydaje mi się, choć może się mylę, że notują raczej rzadko. Tymczasem notowanie pozostawia dużo głębszy ślad w pamięci słuchacza ze względu na użycie wiedzy, której jestem aktywnym odbiorcą. Zachęcam więc do pielęgnowania sztuki notowania, mimo że czasy temu nie sprzyjają. Jednocześnie zadaję sobie pytanie, jaki jest mój udział w zamieraniu sztuki notowania? Czy nie za często używam prezentacji, która utrudnia notowanie? Czy nie za rzadko zachęcam studentów do czynienia luźnych notatek, kiedy zajęciom nie towarzyszy prezentacja? I jeszcze inny wątek – jak wpływa na pamięć i zaangażowanie studentów czytanie skanów lektur przesyłanych im na zajęcia? Jak komplikuje to głęboką analizę tekstu, kiedy PDF opowiadania czy powieści studenci przesuwają na ekranach – laptopów lub telefonów? Nie da się odwrócić tych zmian, ale trzeba zmienić metodę pracy w szkole i na uniwersytecie, by nie sprowadzić rozmowy o dziełach do luźnych wspomnień i skojarzeń, które zostają w pamięci po pospiesznym ekranowym czytaniu. Warto na przykład zadawać szczegółowe pytania

przed lekturą, prosić o wynotowanie ważnych dla interpretacji fragmentów utworu, dzielić grupę na małe zespoły, które dokładnie opracowują wybrane zagadnienie lektury. To szeroki temat, jedynie go tu sygnalizuję.

Na koniec chciałabym zwrócić uwagę na zmiany w przebiegu fizyczności procesu pisania. Pod koniec XX wieku, kiedy zaczynałam studia (a brzmi to, o dziwo, jakby było dawno, dawno temu), pierwsze prace zaliczeniowe oddawałam na papierze. Przygotowywałam je ręcznie, przepisując szkic z brudnopisu. W okolicy drugiego roku studiów miałam już komputer, a pisać nauczyłam się szybko, przygotowując znajomemu autorowi książkę do druku na podstawie jego nagrań głosowych. Cały proces nauki szybkiego pisania, bez patrzenia na klawiaturę, przyspieszyła chyba umiejętność gry na fortepianie. Od dawna więc moje myślenie i pisanie jest niemal nieodłącznie zrośnięte z pracą palców na klawiaturze. Lubię fizyczność i tempo tego procesu, lubię, kiedy zaczynam intensywniej formułować myśl, dzięki naciskaniu klawiszy laptopa. To niemal zmysłowa, a zarazem intelektualna przyjemność. Nie wyobrażam już sobie pisania i myślenia bez tej gry palców na literach. Ręcznie piszę jeszcze w kalendarzu – pełnym planów, refleksji i podsumowań okrucich minionego dnia. Jednak ta krótka synteza ćwierćwiecza mojej pracy filologicznej, którą Państwo czytacie, powstała dzięki przyjemności szybkiego stukania.

## Sensualne przemiany warsztatu polonisty

Tomasz Tomasiak

Homer, o ile w ogóle istniał, był, jak wiadomo, wędrownym śpiewakiem. Co więcej, według niektórych legend był ślepym śpiewakiem. Zbigniew Herbert w dramacie *Rekonstrukcja* poety przedstawił apokryficzną opowieść, w której utrata wzroku stała się w przypadku Homera zdarzeniem aktywującym poetycką wyobraźnię. I ekspresję nieartykułowanych dźwięków – „Poezja to krzyk!”. Literatura w swych początkach miała charakter meliczny, pobudzała u odbiorców przede wszystkim zmysł słuchu. Tę jej podstawową audytywną funkcję podtrzymywali następnie średniowieczni trubadurzy i trawerzy, zespoły teatralne, a potem romantyczni poeci-improvizatorzy. Dzisiaj spadkobiercami tej tradycji są performerzy występujący w slamach poetyckich. W pewnym jednak momencie, może nawet całkiem niedawno, w wyniku postępującej alfabetyzacji społeczeństw, literatura stała się przekazem do czytania, a nie do słuchania.

Stąd też w pracy filologów zatrudnienie znajdowały inne zmysły niż słuch. W pierwszej kolejności wzrok. Czytanie to proces kognitywistycznie dość skomplikowany, ale w sensie sensualnym polega na śledzeniu tekstu za pomocą oczu. Litery i ich ciągi układające się w zdania potrafiły wprawić czytelników w zachwyt z powodu ikonicznych walorów. Dzisiaj, w czasach zestandaryzowanej typografii, wiedzą to tylko ci, którzy mają możliwość zagłębiać do egipskich hieroglifów, pisma Majów i Azteków, chińskich papierowych zwojów, średnio-



Fot. Alan Stocki/UG

wiecznych inkunabułów, czy Biblii zapisanej szwabachą. Czytanie książek pobudza oczywiście też zmysł dotyku. Nie są to doznania wyrafinowane. Papier może być szorstki albo gładki, kartki grube lub cienkie. Z jednym wyjątkiem, gdy zdarzy się rozdzielać nierozcięte karty, ze świadomością, że jest się pierwszym czytelnikiem. To był główny powód, dla którego, wybierając się do biblioteki, w kieszeniach spodni zawsze nosiłem składany scyzoryk. I oczywiście zmysł węchu. Książki mają swoje zapachy, bardzo różne, w zależności nie od gatunków, tylko ich wieku i woni atramentu lub intro-ligatorskiego kleju. Na przykład nowe BN-ki wydzielają woń lekko migdałową.

Rozwój nowoczesnych technologii, raczej nieoczekiwanie, sprawił, że literatura i sposób jej odbioru powróciły do początków. Książki za sprawą audiobooków znów są do słuchania. Nadwyręzony wzrok może zostać odciążony.

Czasami po prostu najlepiej jest zamknąć oczy. Nie przez przypadek pierwsze audiobooki były nagrywane przez Polski Związek Niewidomych. Współcześni aoidowie potrafią pobudzić przysłuszoną wyobraźnię. To jest moje doświadczenie polonistyczne ostatnich lat, fonetyczne interpretacje słuchane wieczorem w czasie powrotu z zajęć w Akademii Pomorskiej na trasie kolejowej ze Słupska do Sopotu – *Mojego wieku* w wykonaniu Piotra Olędzkiego, *W poszukiwaniu straconego czasu* Michała Breitenwalda i popisowego *Trans-Atlantyku* Wojciecha Pszoniaka. Literatura zawłaszczona przez wiele stuleci przez pismo może ponownie przemówić za pomocą głosu. Filologię zapewne w dalszym ciągu uprawiać się będzie z pomocą oczu, ale też coraz bardziej z wykorzystaniem uszu. A czy przejście od czytania do słuchania nie oznacza przewzięcia introwersji w stronę ekstrawersji?